

POLSKI ZWIĄZEK ŁOWIECKI
BIBLIOTEKA

Nr 1874 /

SZPYRKÓWNA, JA
I RADZIWIŁŁOWSKIE ŁOSIE

Polski Związek Łowiecki
BIBLIOTEKA

Nr. 1874.

Odbitka z „Łowca Polskiego” Nr. 28.
z dn. 1 października 1934 r., w 30 egzemplarzach.

JÓZEF WŁADYSŁAW KOBYLAŃSKI

SZPYRKÓWNA, JA
I RADZIWIŁŁOWSKIE
ŁOSIE



W A R S Z A W A — 1 9 3 4

POLSKI ZWIĄZEK ŁOWIECKI

BIBLIOTEKA

Nr 1874

*Pójdźcie a oglądajcie sprawy Pańskie,
jakie uczynił cuda na ziemi.*

Psalm XLV.

...A jak to było — opowiem.

Siedzimy przy stoliku w zacisznym i nastrojowym mieszkanku znanej literatki i publicystki, Marji H. Szpyrkówny. Przy herbatce najwygodniej załatwia się sprawy o doniosłym znaczeniu życiowym...

— Panie pułkowniku — zagadnęła mnie głosem pełnym słodyczy rozmowna wielce gospodyni. — Chciałabym kiedyś zobaczyć serce prawdziwej puszczy, coś podobnego do Mickiewiczowskiej, przepastnej puszczy litewskiej. Pan, jako kawał myśliwego, powinien się głębiej nad tą sprawą zastanowić.

— Pani Marjo! Na rany Boga żywego! Kiedy Pani wreszcie przestanie mnie tytułować pułkownikiem. Stale powtarzam, że jestem kapitanem i szarży tej, w której od piętnastu lat się kocham, za nic nie zamienię. Błagam więc, niech mnie Pani nie prześladowe i zwolni od „pułkownika”. Do rządzenia zupełnie się nie nadaję, o czym Pani dobitnie przekonać się mogła, widząc moją gospodarkę w trzypokojowym mieszkaniu, które z książkami myśliwskimi i z rodziną zajmuję. Zaś co się tyczy puszczy, to mam wspaniałą myśl, nie wiem tylko czy pani ją zaakceptuje.

— Więc niech pan prędko odsłania tę tajemnicę, panie pułk..... — przepraszam — panie kapitanie, ciekawa jestem.

— Prawdziwą tajemną puszcę, niezbadane ostępy, uroczyśka, ujrzyć można chyba tylko u księcia Karola Radziwiłła, ordynata dawidgródeckiego. Tam są odwieczne bagna i zarośla, wśród których żyje potentat puszczy litewskich — łoś. O łosiach pięknie pisze starsza koleżanka pani po piórze, M. Rodziewiczówna, w powieści „Lato leśnych ludzi”: „Niezdarne, jakby z jakiegoś prabytu pozostałe stworzenia, jakby duchy boru, bóstwa pierwocin ziemi. Ciężkie, nieumierne łby; racice, jak ski, potężne kończyny”.

— Ach! jakbym pragnęła zobaczyć tego olbrzyma. Czy to możliwe? Wybierałam się wprawdzie do zwierzyńca warszawskiego, by tam ujrzyć młodego łośa, lecz zanim się wybrałam, łoś ten przeniósł się do wieczności.

— Muszę panią poinformować, że zwierzę to było na wymarcu w chwili odzyskania niepodległego bytu Polski. W puszczach radziwiłłowskich płało się wówczas zaledwie kilka łośi: wystraszone sztuki — niedobitki. Otoczył je czułą opieką książę Karol, prawdziwy człowiek leśny i zasłużony hodowca-myśliwy, u którego dzisiaj stan łośi wynosi około czterystu sztuk. Niejeden łoś powędrował stąd do okolicznych państwowych i prywatnych lasów i tam się też rozmnaża. Przed dwoma laty byłem gościem w tej puszczy oraz uczestnikiem niezwyklego polowania na łośie. Wiem, że książę Karol lubi się otaczać ludźmi nauki, zwrócę się więc doń z prośbą, czyby nie zechciał umożliwić pani, pani Marjo, obejrzenia cudów przyrody, jakimi przepelniona jest jego olbrzymia puszcza, wynosząca niemal ćwierć miliona morgów przestrzeni.

— Sama się nie wybiorę, panie kapitanie. Czy nie mógłby się pan tak urządzić, aby mi towarzyszyć? Pan, jako koneser w łowiectwie, uprzyjemniłby mi niezmiernie całą podróż.

— Pani Marjo — odrzekłem, czyniąc w jej stronę niski ukłon. — Przed chwilą nazwała mnie pani

„kawałkiem” myśliwego, a teraz raptem, gdy pragnienia pani ujrzenia puszczy poczynają się krystalizować, chce mnie pani mieć za cicerone.

— Tak, a nie inaczej — padła zdecydowana odpowiedź.

— Rozumiem — odrzekłem i zamilkłem, pełen wyniosłej dumy.

— Z tego, co mi pan o księciu naopowiadał, przypuszczam, że nas oboje zaprosi.



Kładki przez mszar.

Fot. J. Wł. Kobylański.

W kilka dni po wysłaniu listu poleconego do Mańkiewicz, otrzymałem następującą radosną odpowiedź: „Szanowny Panie Kapitanie. Na list Pański śpieszę Pana zawiadomić, że oczekuję P. Szpyrkównę i Pana. O przyjeździe proszę telegrafować. Sciskam dłoń serdecznie. Karol Radziwiłł”.

Ustaliliśmy dzień i godzinę wyjazdu. Pociągami nocnym jedziemy przez Kowel do Sarn. Po południu jesteśmy już w Horyniu, gdzie nas oczekuje wygodny ekwipaż. Rażno toczą się koła po poleskim piachu. Mijamy Stolin i niebawem wysiadamy przed pałacem w Mańkiewiczach, gdzie nas witają gościnni gospodarze. Zasiadamy wprost do śniadania, trochę gadu-gadu, wstajemy od stołu, bierzemy nasze manatki i już jesteśmy w aucie. Obok nas siada niebywale wesoly i elokwentny adwokat D., zaś za kierownicą sam książę Karol, a obok niego Poleszuk mechanik. Jedziemy w głęboką puszcę. Przed nami zgórą 30 kilometrów „drogi” wyboistej, wśród odwiecznych drzew i, jak się okazało, pełnej bajor. Bowiem w tym czasie, gdyśmy z Mańkiewicz wyjeżdżali, spadł w puszczy ulewny deszcz, o czym nic nie wiedzieliśmy, wybierając się fatalnie autem.

Radziwiłłowska maszyna pracuje wytrwale. Nasz sympatyczny i pełen humoru książęcy „autor” (jest to nowa nazwa szofera), bierze w sposób podziwu godny wszelkie wyboje, wertepy i kałuże, aż siedliśmy po osie, lecz nie w bagnie, a na polanie w piasku. Z ciężką biedą wydostajemy się z auta, obłożeni pakunkami. Pani Marja rozkoszuje się balsamicznym powietrzem i czarem puszczy, odmawiającej przedwieczne pacierze. Wokół słychać kumanie żab. My „mężczyźni” męczymy się. Odkopujemy tylne koła samochodu, pod którym pokazuje się woda. Puszcza motor, lecz koła wirują w miejscu, wyrzucając fontannę błota na nas, mniej nadających się do takiej roboty. Raptem, jak z pod ziemi wyrosły, zjawia się z pomocą młody Poleszuk. Ciał dwa razy własną siekierą i wysoka sosna padła mu u stóp. Podkładamy polana pod koła, podnosimy tył wozu, motor rusza i ku ogólnej uciechu wybrnęliśmy z piachu. Jazda dalej. Mijamy liczne, lecz niestety zbyt częste kałuże. A tu wokół zwał chojarów, prastary las zadumany, w głębi nieznana tajnia i odmęty zdradliwego bagna,

porośniętego haszczami trzciny, łązy i sitowia. Okolica cudna, jak czar. Zdjąłem czapkę przed tym majestatem Bożej przyrody.

O szyby auta bije rozcinana pędem woda z bajor. Nagle widzimy przed sobą naszą drogę leśną zalaną na wielkiej przestrzeni, jakby jezioro. Trzeba znać swój las dokładnie, aby tak po mistrzowsku jechać po zalanej wodą, wąskiej drożynie, jak to czynił książę ordynat. Auto pruje naprzód. Fale bryzgają, gdyż to już nie bajora, a istna rzeka. Nagle: stop. Motor zanurzony w wodzie — zaniemówił. Stanęliśmy w pośrodku wody. Książę nie traci humoru, mechanik wchodzi do wody i coś tam gmera koło motoru.

— Kapitanie — rzecze książę — aby się wam nie nudziło, przeczytajcie na głos „raport”, jaki dziś otrzymałem z Chotomelskiego Nadleśnictwa.

Rozkładałem pomięty papier i czytam: „W niedzielę dnia 5 sierpnia 1934 r. gajowi Szabat Józef i Mozol Andrzej, będąc w obchodzie, w uroczysku Kopane, usłyszeli strzał. Natychmiast udali się w kierunku strzału i w uroczysku Rohi, w oddziale 27, znaleźli ślady łosia, który krwawił. Za łosiem szły ślady dwóch kłusowników, którzy widocznie pierwsi spostrzegli gajowych i uciekli do granicy chłopskiej, a stamtąd na łąki. Raniony łось przeszedł przez rzekę Wyłownicę i poszedł w uroczysko Sworowo. Dalej iść za łosiem gajowi nie mogli, ponieważ zapadł wieczór. Ulewny deszcz z niedzieli na poniedziałek w nocy zalał ślady, tak że dalsze poszukiwania ranionego łosia oraz czatowanie na kłusowników nie dały wyniku. W poniedziałek 6 sierpnia b. r. udało mi się zebrać poszlaki co do kłusowników. Policja prowadzi dochodzenie i mam nadzieję, że sprawcy będą wykryci. Ranionego łosia nie udało się znaleźć, ponieważ woda zalała ostępy. Sługa — Genarjan Zielonko”.

Ha! kłusownicy to nieszczęście w gospodarce łowieckiej. Lecz, przepraszam, ale my dalej z autem siedzimy w wodzie. Rada w radę, pozby-

liśmy się obuwia i na bosaka z auta do wody, wyżej kolan, aż na murawę. W aucie pozostała jedynie cierpliwa pani Marja, samotna ze swojemi niecodziennemi dumkami. Mrok zawisł już nad głowami. Motor nie rusza. Posłał książę do odległego o dwa kilometry uroczyska po cztery woły. Ja dla przyspieszenia tej pomocy wypaliłem na alarm jeden nabój z radziwiłłowskiej dubeltówki, aż się sowy pozrywały. „Mnóstwo gwiazd błysnęło na niebie, zaświeciła droga mleczna, utkana jakby z przeźroczej, srebrnej gazy i brylantowych łez. Wieczór sierpniowy zapanował cichy, wonny, rozgwieżdżony” — jak to pięknie pisze Helena Mniszek w „Książętach boru”.



Drewniany krzyż, postawiony w ostępie Dołhij Ostrów.
Fot. J. Wł. Kobylański.

A naszą niefrasobliwą panią Marję ciągną cztery woły zaprzęgnięte do auta. Niezwykłe uczucie i niezwykle widok... godny umieszczenia na kliszy, gdyby nie wieczór — wieczór pełen niezwykłego uroku.

Dobrnęliśmy do gajówki. Tu nas czekała puszczańska wieczerza, zakrapiana zlekką monopolówką. Sypią się kawały, jak pierze z rozdartej poduszki, humor spotęgował się, lecz... przemęczenie gra po kościach. Gasną kaganki, przez otwarte okna gajówki wpadają kołyszące i senne rozhowory milionów drzew. Morfeusz otulił wszystkich.

Drugiego dnia rano moja zachwycona towarzysza i ja jedziemy przy pięknej pogodzie w motorówce rzeką Lwą, przedzierającą się środkiem głuchej puszczy, jakby przez dżungle. Niezapomniane widoki. Opary unoszą się, a z poza przezrocza ich welonów wyłaniają się stogi świeżego siana o zapachu jak balsam, a za nimi ściana tajemnego, ciemnego i głuchego lasu. Te cuda przyrody widział także Julian Fałat i wziął je na płótno. Po dwugodzinnem biciu motoru płyniemy na odmianę cicho wśród niepojętej ciszy. Łódkę unosi sama fala. Wtem w przybrzeżnych krzakach rozległo się gwałtowne łamanie gałęzi i głośny plusk wody. To łódź zanurzony w zaroślach uchodzi w głąb lasu, oburzony widokiem ludzi-intruzów, którzy wdarli się w jego błogosławioną krainę błot.

Po czterech godzinach dobiła motorówka do gajówki Hołowy. Rozpakowaliśmy bogaty prowiant, w który z całą drobiazgowością wyposażyla nas arcymiła księżna-gospodyni, nie zapominając nawet najdrobniejszych rzeczy. Posileni i wypoczęci, wdzialiśmy na nogi chodaki t. zw. apostołki i cichutko, bez rozmowy, udaliśmy się przed zachodem słońca z przewodnikiem w ostęp Dolhij Ostrów, gdzie wysoko, na masztowych sosnach, urządzono wygodną myśliwską chatownię, nazywaną przez gajowych „hochsztandem”. Z chatowni tej, zamaskowanej wśród gałęzi, roztacza się daleki widok na prawdziwe królestwo łosi. Do tej wygodnej chatowni, jak do Mekki, podąża każdy gość ordynata i stąd wyteżonym wzrokiem wypatruje wśród bagien, krzaków i trzcin sylwetkę łosia. Zazdrości go-dzien jest ten, który przynajmniej raz w życiu mógł

tu być na tych rojstach i widzieć to olbrzymie, o monstrualnej budowie zwierzę. Tu przed dwoma laty na próżno wypatrywałem oczy przez kilka wieczorów, podczas gdy mojemu ówczesnemu towarzyszkowi, profesorowi uniw. E. Schechtlowi widocznie szczęśliwsza przyświecała gwiazda.

Ordynat dawidgródecki swe najpewniejsze i najbogatsze w łosie rewiry tak urządził, że przez niedostępne dotąd topiele i kołyszące się bagna poprzerzucił pojedyncze, nieco ociosane pnie drzew, tworzące wąziutką i zamaskowaną prawie kładkę, niejednokrotnie szerokości zaledwie stopy ludzkiej w lipowych łapciach. Przejście przez takie kładki, ciągnące się długimi kilometrami, to formalne gimnastyczne ćwiczenie równowagi, do którego trzeba mieć już pewne przygotowanie. Gdyby nie długi kij pielgrzyma w ręku, będący jedyną podporą i ratunkiem, niejednego wpadłoby w bagno, choć i kij niezawsze pomaga. Żal mi było mocno naszej powieściopisarki, która w drodze do czatowni przeszła istne męki Tantala, zamoczona po biodra w poleskiem rozgrzanem błocie. Żal mi jej było tem więcej, że wiedziałem z doświadczenia, iż ujrzenie łosia jest stale pod znakiem zapytania.

Wreszcie znaleźliśmy się w czatowni. Pani Marja usiadła na wygodnej ławce, szczęśliwa, że nie potrzebuje już wyteżać uwagi, patrząc pod nogi. Kładka się skończyła. O powrotnej peregrynacji tą samą drogą myśleć narazie nie chciała.

— Jest! jest! — szepcze gajowy Józef — wskazując palcem na krzaki przed nami.

Istotnie w odległości około 300 metrów ujrzeliśmy sylwetkę łosia, skubiącego gałązki, z wyraźnym kierunkiem marszu ku nam. Zamarliśmy jakby na komicę. Do uszu dolatuje coraz wyraźniejsze stąpanie po wodzie. Co parę kroków zwierz się zatrzymuje, wieńczy dookoła, a po zrekoгноskowaniu terenu zmierza znów naprzód. Ażurowa mgła wieczorna strzępi się na ostrych liściach trzin i szuwarów. Zaiste po mi-

strzowsku uchwycone są obrazy Fałata. Łoś zbliżył się niemal pod czatownię. Obserwowaliśmy go z odległości niecałych 50 kroków przez kilka minut, aż oddalił się tą samą drogą.

— Pani Marjo. Pani faktycznie w czepku się urodziła. Ledwie zdołaliśmy tu usiąść, a łoś już przyszedł do pani z wizytą.

— Powinien mnie pan zawsze brać z sobą, jako maskotę.



Czatownia w ostępie Dolhij Ostrów

Fot. J. Wł. Kobylański.

— Zgoda! Jutro pobudka o godzinie wpół do trzeciej rano. Idziemy na spotkanie łosi dzisiejszą drogą, a dalej przez ostępy Odynice, Piotrowy Odynice i z powrotem na śniadanie do Hołowy.

Droga powrotna dała się we znaki mej towarzysze. Słońce zapadło. Nastął głęboki wieczór puszczański, pełen tajemniczych głosów różnego ptactwa.

Wracamy w milczeniu, każdy z napiętą uwagą, by nie stracić kładki pod nogami. A puszcza wokoło rozlewa cudowny zapach swych drzew, kwiatów i traw wodnych. Zakłęta kraina. Wreszcie zeszliśmy z kładek na prawdziwy grunt leśny, na udeptaną ścieżynę. Przyślanęliśmy jakby dla wypoczynku... nasłuchujemy... ciemny bór szumi i szumi, bo te drzewa mają też swoje przeżycia i własną dolę i niedolę... Każdy niemal z tych Dewajtisów ma wiele do powiedzenia, któż jednak odgadnie ich ponurą mowę, zawartą w szeleście liści. Mijamy powalony kiedyś burzą olbrzymi konar dębu...

— Oto jest — pani Marjo — dziewicza puszcza, urocza kolebka marzeń myśliwskich, królestwo wody, zwierząt i drzew, prastarych drzew...

„Tu ich nigdy zabójcza nie tknęła siekiera:
Drzewo samo wyrasta i samo umiera”.

W gajówce czekał nas Marko z zaimprovizowanym rosołem, ugotowanym na wolnem powietrzu. Rosół ten był dla nas w tym momencie smacznym, jak sok brzo-zowy dla Poleszuka. Nawet „sałamacha”, jaką nam z przejęciem spitrasił, mieszając słoninę, pomidory, ziemniaki, jaja i kompot z wisien w jedną potrawę, była dla nas wyszukaną delicją. Końcowy efekt tej — nie kolacji, o czem lepiej nie pisać — lecz dzisiejszej wyprawy na podpatrzenie losia z czatowni był taki, że następnego dnia raniuteńko sam wybrałem się do puszczy, z niedostępnym gajowym Józefem.

„O jakże miło przy rannym chłodzie
Tak się zapuszczać w losiowe knieje,
Jak tajemnicza ta chwila w puszczy,
Kiedy noc kona, księżyc blednieje”.

Nie żałuję tego poranku. Dał mi on niezapomniane emocje, których niewielu ludzi przeżywać może. Na wczesne „dzień dobry” powitał mnie z odległości około dwustu kroków potężny łoś-badyłarz, bijąc na trwożę, niebawem zaś, niemal z pod nóg moich, zerwał się kozioł z dwiema sarnami. Lecz to było dopie-

ro preludjum do tego, co miało za chwilę stworzyć clou mojej rannej wyprawy. Byłem w ostępie Odynice. Wynurzając się cicho, jak kot, bo w łapciach, z poza krzaków na zakręcie, znalazłem się raptem przed olbrzymim łosiem, niemal oko w oko. Tym razem był to byk-łopatacz, który z rannym apetytem zajadał młode pędy łozy, to znów na otwartem bagnie leśnem — kaczeńce, zwane na Polesiu łotocia. Przykucnąłem w szuwarze i nadziwić się nie mogłem tej precudnej scenie, spoglądając na nią z bliskości. Wyciągnąłem z kieszeni aparat i zrobiłem dwa zdjęcia. Dochodziła godzina piąta rano. Po drugiej stronie kładki odezwał się drugi łos — to rozpoczął się wab. Ruszył mój łopatacz zwolna, okazały jak lokomotywa i niebawem utonął w gąszczu sitowia. Zmierzyłem odległość: fotografowałem na 24 kroki. W drodze powrotnej spłoszyłem jeszcze głuszca i cietrzewia. Tropów łosi — bez liku.

Słońce wzniosło się wysoko. Niech żałują ci, którzy tego poranku ze mną nie byli. Ja ich także żałuję. Żałuję, że nie miałem przy sobie duszy bratniej, któraby razem ze mną nasycać i radować się mogła. Lecz... oto inny żal jeszcze chwycił kleszczami upojoną czarem duszę: tak jak liść płacze, że go wiatr z gałęzi na ziemię rzuca i w piękny dzień słoneczny umierać mu każe, tak i nam trudno było zebrać się do odlotu. Niezawsze bowiem promień słońca jest pocałunkiem kochanki. Gościna gospodarzy i ich otwarte serce, czyniły tem cięższą rozłąkę z czarnym borem puszczy, z jej kniejami, ostępami i uroczyskami, kędy łos stąpa.

Jasnym płomieniem zapłonął w sercach znicz wielkiej wdzięczności.

Bądź zdrowa, ojczysta kraino czaru i cudów!

„...dziś piękność twą w całej ozdobie

Widzę i opisuję, bo tęsknię po tobie”.



BIBLIOTEKA

Polskiego Związku Łowieckiego

Nr

1874